

„Spokojna noc”. Takie pojęcie nie istniało, niezależnie od tego, czy bitwa była blisko, czy w ogóle jej nie planował, czy zasypiał u boku żony czy na zimnej ziemi przy którymś z żołnierskich ognisk. To nie to, że się bał. Tak, bał się, a to uczucie tak bardzo zrosło się z jego codziennością, że niemal przestał je zauważać. Z rozmów, tych najszczerzych, nad ranem i nad szkłem pustych butelek nie raz miał okazję słyszeć podobne do swoich zwierzenia. Od takich, którzy całe życie poświęcili wojnie. Oni nieraz wprost mówili, że strach nie opuszcza ich nigdy. Dlatego tak dużo się śmieją, tak głośno, dlatego piją na umór, dlatego kochają się bez sensu i uczucia, dlatego rzucają się wprost naprzeciw śmierci... bo to wszystko zagłusza strach, który z czasem staje się nie do zniesienia.

Trudno było to od nich usłyszeć, od takich jak Imira, Miguel czy Torres, ale dało się. Pomiędzy Tercją, a Zakonem powstała jakaś dziwna nić, jakiś cień szacunku, zrozumienia... może nawet braterstwa broni. Nikt tak dobrze, jak dar Toller nie wiedział, jaką wartość ma szacunek, zaufanie i przyjaźń ludzi z Tercji. On też nie wiedział, aż do którejś z nocy, niedługo po rozpoczęciu inwazji na wybrzeża.

Północna Komandoria Czarnej wciąż nie dostała rozkazów. Coś ważyło się, wisiało w powietrzu. Nad portem na Zachodnim Klifie powiewały już błękitne chorągwie, dziesiątki ciemnych żagli... Chłopcy i dziewczęta Mercji gromadzili się w Mortain, pod chorągwiami Modwita, wystraszeni, przejęci, zmęczeni. Tak bardzo nic nie umiejący.

W dwóch obozach armia obrony Wybrzeża także nie spała tej nocy, obserwując błękitne rozbłyski na horyzoncie. Wielki Mistrz często przechadzał się w podrzędnym ubraniu, sprawdzał warty, słuchał rozmów. Obserwował twarze.

Zacięte twarze paladynów o zaciśniętych szczękach.

Nowi rekruci o rozszerzonych adrenaliną oczach, oczekujący przygody życia. Albo tak przerażeni, że proste czynności robiły się upierdliwie trudne.

Weterani powstań, ze skroniami posiwiałymi, zaciśniętymi ustami i pustką w oczach.

Najemnicy, zaczepni i wkurwiający.

Zawodowcy o posępnych twarzach, śmiejący się głośno, pijący na umór, śpiewający do świtu przy ogniu niepokojące pieśni, po których milczeli długie minuty.

Armia, która miała obronić Wergundię.

Armia, która miała obronić Północ....

Po rozmowie z Imirą zwątpił w to, że istnieje jakakolwiek Północ. Po prawdzie zwątpił także w szereg innych rzeczy, ale kryzys wiary zrzucił na zmęczenie, noc i niewyspanie. Bał się o nią, przyklejenie zatem jej do pleców dwóch ochroniarzy uznał za dobry pomysł, w końcu nie wyszła trzeźwa z tej kwatery... Zupełnie jakoś nie przewidując, co ona im zrobi, jak wykryje że za nią łążą, nawet po pijaku.

Ale właśnie zrobiła to, co zrobiła.

Zdradziła rozkazy.

Wydała Wergundii informacje o pakcie z Tryntem.

Mniejsza już o to, że jeśli to kiedykolwiek wypłynie, to w najlepszym razie stanie przed plutonem... Tergor wiedział, jak czułby się na jej miejscu i wiedział, jak potrafi zadziałać potrzeba odkupienia takiej winy. Wolał nie usłyszeć, że zginęła w jakimś bezsensownym ataku, by poczucie winy za zdradę zastąpić ulgą, że przynajmniej umiera za Styrię.

Powinien był iść do kwatery. Nad czarną linią horyzontu wstawał bładny świt, obóz tonął w mgłach i płójących nisko dymach ognisk. Był wółprzymny ze zmęczenia. Nad horyzontem jaśniały gwiazdy. Myśl, że można na chwilę spocząć na sienniku, chwilowo definiowała egzystencję paladyna.

Gwiazdy...

Do kwatery, prostego drewnianego baraku, wiodła pokryta pierwszym szronem droga.

Gwiazdy....

Jaśniejąca nad Mesin Tarcza Modwitowa, jeden z najbardziej widocznych gwiazdozbiorów na nocnym niebem Północy, rozbłyskiwała intensywnym miarowym, bladym światłem. Pulsowała. Nie pozwalała odwrócić wzroku.

Zatrzymał się. Tergor nie był przesądny. Nie był pewien. Zwykle wyraźnie słyszał słowa Pana Szeregów, a tu jakieś majaki, szept, mgliste sugestie...

Przetarł dłońmi zmęczone oczy. Skoro Modwit wzywa... a gdyby nie, to najwyżej przejdzie się do świątyni niepotrzebnie. W sumie może chwila refleksji przy modlitwie jakoś rozjaśni umysł, może dostrzeże coś więcej...

Westchnął ledwie zauważalnie, zajęty oddawaniem salutu poszczególnym wartom, i zmienił ścieżkę.

W obszernym namiocie poniżej wału mieściła się tymczasowa świątynia Modwita. Namiot. Zwykły namiot. Pan Szeregów sypiał w namiocie razem ze swoimi żołnierzami... Jakież to symboliczne, pomyślał Tergor, przekraczając granicę mroku pod ciemną płachtą. Szarość i intensywny aromat kadzideł wchłonęły go jak gąbka, otuliły ciszą. Leniwe płomienie wielkich świec pomnożone przez odbłask w klingach, hełmach, ostrzach, kojarzyły się z gwiazdami. To tylko skojarzenie, pomyślał, przyklękając przed symboliczną figurą. Zmęczenie stres i alkohol zrobiły swoje, tylko dlatego widzi gwiazdozbiór w błyskach świec na metalu. Zwykle w obrzędach przyklękał na jedno kolano, teraz usiadł właściwie na ugiętych kolanach i pochylił głowę.

Nie lubił przychodzić tu po radę. Nie po to przecież Modwit powierzał mu dowodzenie, żeby mu dowódca skamlał o wskazówki, zamiast przynosić zwycięskie trofea. Ale teraz nie wiedział co robić. Gorzkie poczucie zdrady, rozczarowania, zawiedzione zaufanie ciążyły bardziej niż widmo klęski, wiszące nad wybrzeżem. Ostatnią myślą Wielkiego Mistrza Zakonu, zanim oparł się czołem o własne kolana i zasnął, było pytanie...” mogę jej ufać?” ...

Kadzidła trochę oszałamiały, otępiały. To źle, pomyślał, zmysły są potrzebne. Przymknął oczy, piekące od dymu. Pasma mgły snuły się wokół niego, oplatały, zawijały się. Magia materializowała się niemal namacalnie, ale w żadnym konkretnym miejscu, jak okrywający przedmioty wielki tiul.

Jedna ze świec rozbłysła bardziej, a jasny blask zdawał się wciągać pozostałe. Jasna plama świecy rozlała się, jaśniała bardziej i bardziej. Dobrze, że się obudziłem, pomyślał, to może być pożar... Ale zamiast spalenizny poczuł wyraźny zapach ziół i wysuszonych traw, dębowej ściółki. Krzyk. Metaliczny klangor broni. Jasnowłosa dziewczyna o oczach pełnych przerażenia i strachliwych ruchach przyciska się w panice plecami do kobiety w skórzanym kolecie, łudząco podobnej do Imiry. Krzyk. Ból, który odczuwa aż w trzewiach i po kręgosłupie. Ostrze z obsydianu, najeżone kolcami, rozorało jej brzuch. Ciemnowłosa kobieta kolecie zanosi się płaczem klęcząc w pyle drogi, obok leżącej postaci przykrytej płaszczem i sztandarem z trzema księżycami, w który wsiąka wielka plama krwi.

Młodzieniec o sprężystych ruchach i zmierzwionych długich włosach.

Sen skupia się na nim, na pokrwawionych dłoniach, gładzących jasne włosy tamtej, umierającej dziewczyny. Bardzo powoli otacza ją ramieniem, łagodzi ostatnie chwile życia.

Wyjmuje z jej dłoni tarczę.

Buro-granatową

Z trzema księżycami.

Huk....

Błyskawica rozorała niebo nad potężną górską fortecą.

Za krawędzią tarczy twarz młodzieńca, blada, z podkrążonymi oczami i włosami zmierzwionymi w nieporządną wiecheć.

Kształty, krzyki.

Okrągłe tarcze, kolorowe tartany.

Migoczące światło pochodni.

Ten młodzieniec, rozpychając szybkimi uderzeniami łokci ludzi wokół, wbija się pomiędzy ciemne postaci. Nie! krzyczy kobieta w burym kilcie. Człowiek, przepasany czerwoną szarfą, o okrągłej pucułowatej twarzy. Trójkątna granatowa tarcza, na niej trzy księżyce.

Błysk. Huk.

Krzyk, jak z bardzo daleka. Jak zza zasłony innych światów. Upiorny, straszny wrzask, pełen żalu utraty, ekstremalnej rozpacz, rozrastający się na miliony gardeł ... Jakby sama ziemia, sama Ea wyła z bólu.

Dojmujące wrażenie, że stało się coś strasznego, przez chwilę sprawiało, że Tergor niemal odczuł potrzebę płaczu, choć była dość daleko od jego naturalnych reakcji.

Światło zgasło. Trwał w ciemności, trzęsąc się z zimna i emocji, w rzeczywistości pozbawionej czegokolwiek, zawieszona w nicości.

Chciał krzyknąć, ale w pustce żaden dźwięk nie powstał.

Serce przyspieszyło w nagłym przypływie paniki, że już nigdy się stąd nie wydostanie. Nikt nie usłyszy. Nikt nie przybędzie. Nicość i pustka w której straci zmysły...

Gdy rozbłysnęła iskierka, wpił w nią wzrok i skupił wolę, by była prawdziwa, choć nie było kryteriów, by to ocenić. Rosła w jego oczach, rozrastała się, jaśniała. Serce waliło jak młotem, od wysiłku, który nie dawał efektu, paliły mięśnie....

Dotrzeć do światła...!

Ocknął się na podłodze, niemal dławiąc się krzykiem, z rękami zaciśniętymi na broni, mokry od potu.

Świece wciąż odbijały się od wotywnych rynsztunków.

Na zewnątrz namiotu nawoływały się straż.

Posąg dostojnie wpatrywał się w przestrzeń.

Świt był jeszcze cholernie daleko.